

Adam Stanisław Barcikowski



KRÓTKA DESZCZOWA
Z M O R A

Adam Stanisław Barcikowski

Krótką deszczowa zmora

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

© Copyright by Adam Barcikowski
Warszawa, wrzesień 2016
& e-bookowo
Projekt okładki Grzegorz Wojtasik

ISBN 978-83-7859-770-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2017

Konwersja do epub [A3M Agencja Internetowa](#)

I.

Znów siedzę tu i patrzę na cudze życie. Patrzę na życie pływające za podwójnym szkłem po drugiej stronie ulicy. Ludzie przychodzą i odchodzą. Światła zapalają się i gasną – jak jakiś szalony kosmiczny spektakl migocących gwiazd.

„A planety szaleją, szaleją...” słychać dźwięki z głośników radia w sąsiednim pokoju.

Kracze wrona, szczeka pies i brzęczy piekarnik...

– Cholera piekarnik! – krzyczy Jonasz potrącając w pośpiesznej drodze do kuchni kwiaty stojące w drzwiach. Delikatny siwy dym unosi się w pokoju jak gdyby nigdy nic i bezczelnie zajmuje swoją istotą zdecydowaną większość przestrzeni życiowej Jonasza.

„... się śmieją, się śmieją, się śmieją...” zawodzi radio. Dym tańczy i płasza delikatnie do rytmu rocka z lat osiemdziesiątych.

– No to miałem świetny obiad na jutro. Indyk poszedł się paść – mamrocze pod nosem niedoszły posiadacz pieczonego indyka.

– Znowu trzeba będzie kupić jakieś badziewie u pana kanapki – dodał w duchu.

Jako przeciętny przedstawiciel trzydziestoparoletniej nowoczesnej klasy średniej, Jonasz jest szczęśliwy. Jest właścicielem pięknego hipotecznego mieszkania na Mokotowie, ma wspaniałe nowe BMW będące własnością firmy leasingowej, no i przede wszystkim ma wspaniałą pracę w renomowanej firmie doradczej, bez możliwości rozliczania nadgodzin. Doradza ludziom, którzy zmieniają świat w jaki sposób robić to jeszcze efektywniej, czyli zgarnąć jeszcze więcej dla siebie. Takie myśli towarzyszyły Jonaszowi w trakcie sprzątania mięsa, które nadawało się już co najwyżej do wystawienia w Centrum Sztuki Współczesnej.

Naturalnie Jonasz mieszkał sam. Oczywiście na co dzień, ponieważ w nocy jego apartament często był odwiedzany przez kobiety. Naturalnie przez kobiety. Nie dziewczyny, ani żony, ale właśnie przez kobiety i przede wszystkim dlatego przez nie.

Jonasz wrócił na balkon. Deszcz siąpił regularnie jak wentylator w łazience odmierzający kolejne sekundy życia. Myśli Jonasza pobiegły w kierunku ważnego projektu, który miał realizować, i w który był zaangażowany całym sercem. Z powodu tego zaangażowania, które młodzi z pokolenia „Y” nazywają poświęceniem, w domu był z reguły w nocy. Jonasz wkładał w pracę całe serce i...

– Trzeba to w końcu dopiąć – pomyślał siadając na kanapie i wracając do obserwacji życia toczącego się w bloku z wielkiej płyty wyrastającego z gruntu po drugiej stronie ulicy. Jonasz odruchowo spojrzął na telefon, który wyciągnął z kieszeni. Brak wiadomości. Niewątpliwie był człowiekiem pracy. To on i tacy jak on dokonali tego cudu, jakim była polska przemiana gospodarcza ostatnich dwudziestu pięciu lat. To ich poświęcenie legło u podstaw tej wieży Babel, którą nazywa się obecnie kapitalizmem.

Zaczynał padać deszcz. W trzecim oknie od prawej na siódmym piętrze w bloku naprzeciwko stała postać. Słysząc było szum ulicy i pokaskiwanie zbłąkanego przechodnia. Pokaskiwanie zmieniło się w astmatyczny kaszel, a postać wciąż stała w oknie. Uruchomił się alarm samochodu zaparkowanego gdzieś na sąsiednim osiedlu, a postać się poruszyła. Wtedy Jonasz dojrzał poprzez drobno siąpiący deszcz, że ta postać była wpatrzona w niego. Jednocześnie poczuł gwałtowny przypływ czegoś, co określiłby jako niepokój lub może strach, albo rezygnację i suchą rozpacz. Był to niepokój co do jutra i brak pewności czy po nocy ujrzy światło dnia. Jonasz nagle zwątpił czy pójdzie jutro do pracy, czy dokończy projekt. Poczł rozpacz na myśl, że nigdy nie zobaczy już Magdy, która przychodziła do niego w każdy czwartek dokładnie o dwudziestej. Wyobraził sobie, że jego rodzice, wciąż zagubieni w drobnej wiosce w powiecie pińczowskim, nie zapytają go już więcej na święta „Synku! To co tam słysząc w wielkim świecie? Chińczyki trzymają się mocno?” Jonasz zamknął oczy i nagle oślepił go gwałtowny błysk i ogłuszył niespodziewany huk. Poczł, że coś spada, że coś go przygniata do gruntu. Słyszał czyjś kaszel i czyjeś jęki. Dokoła widział tylko pył i oślepiające smugi światła. Nie mógł poruszyć

ręką ani nogą, jakby został przyszpilony do ziemi jakimś gigantycznym spinaczem do papieru. Zaczynała ogarniać go panika, próbował się wyszarpnąć, wyskoczyć z tej klatki, która wciąż go trzymała przy posadzce. Po kilku minutach bezskutecznej walki o oswobodzenie kończyn z niewidzialnych kleszczy poczuł, że zaczyna brakować mu tchu. Z początku pomyślał, że się zmęczył i musi chwilę odpocząć. Jednak ze strachem zdał sobie sprawę, że wcale nie jest zmęczony. Jonasz poczuł, że się dusi. Łapał każdy kolejny oddech z zachłannością topielca. Coś naciskało mu pierś przez co nie był w stanie nabrać pełnego oddechu.

– Co jest do kurwy nędzy? – pomyślał Jonasz w ostatnim przyływie świadomości nim ogarnęła go ciemność i głucha cisza.

Kiedy otworzył oczy szum miasta i chłód odchodzącej nocy uderzyły w niego jak młot. Leżał na posadzce balkonu. Zaczynało wschodzić słońce. Pierwsze poranne przebłyski odbijały się w szybach bloku po drugiej stronie ulicy. Jonasz pomyślał, że zaraz powinien zbierać się do pracy.

Po tej pierwszej myśli nadszedł znowu niepokój. Przypomniał sobie jak zobaczył postać w oknie sąsiedniego bloku. Przypomniał sobie straszne uczucie beznadziei i suchej, czarnej rozpacz. Uczucie, które sprawiało, że miał wrażenie że nic nie pozostało, że może tylko skoczyć z balkonu i zakończyć to raz na zawsze. Po co to kontynuować skoro i tak nie będzie jutra. Jest tylko strach, cierpienie i brak nadziei. Płacz i zgrzytanie zębów. Jonasz zadrżał, wciąż leżąc na zimnej posadzce.

Następnie wstał ciężko podpierając się rękami i wrócił do pokoju. W środku wszystko było takie, jak je zostawił gdy wieczorem po ciężkim dniu pracy wyszedł na balkon chwilę odpocząć obserwując ludzi w akwarium. Na wprost drzwi na balkon stała komoda z książkami. Głównie były to książki ekonomiczne, jeszcze z czasów studiów, oraz skandynawskie kryminały. Jonasz raczej nie miał nigdy czasu na czytanie książek i też nigdy nie czuł szczególnej potrzeby, żeby to robić, chyba że mógł mieć z tego jakąś korzyść. Po prawej stronie pokoju stała kanapa w beżowym kolorze ze skórzanymi elementami tapicerki. Na kanapie leżała torba z komputerem przenośnym i marynarka, tak jak je zostawił wieczorem.

Na jasnej podłodze z dębowego parkietu widniały zabłocone i wciąż mokre ślady butów. Ślady prowadziły na balkon. Jonasz nie przejął się tym faktem. Złapał torbę z komputerem i marynarkę.

– Muszę jechać do pracy – pomyślał – Dobrze, że tak wcześnie wstałem, nadrobię trochę projekt. Jonasz skierował się prosto do przedpokoju i wyszedł z mieszkania. Wychodząc nawet nie zastanowił się nad tym dlaczego drzwi wejściowe do mieszkania są otwarte. W pokoju zapanował spokój.

W powietrzu nie tańczył już siwy dym ani nie było słyhać muzyki. Zapadła martwa cisza i bezruch. Na kanapie leżała ciemnogramatowa marynarka oraz czarna skórzana torba na komputer przenośny.

II.

Dr Gruber siedział w pokoju dyżurki w szpitalu MSWiA i spokojnie palił papierosa. Dyżur przebiegał w leniwej atmosferze i dr Gruber bardzo chciał, żeby mógł go takim zapamiętać.

Dwóch pijaków przyjętych o 22:31, matka z dzieckiem, które połknęło rysik od ołówka oraz dwie starsze panie, które najwyraźniej nie miały ciekawych zajęć na ten wieczór i postanowiły wpaść na Szpitalny Oddział Ratunkowy, żeby zweryfikować swój ogólny stan zdrowia. A, no i jeszcze motocyklista. Jeden z tych co odpalają swoje maszyny dopiero po zmroku i nigdy nie schodzą poniżej dziesięciu tysięcy obrotów na minutę. Według ratowników, którzy go przywieźli ścigał się z kolegą kto pierwszy przejedzie Most Siekierowski. Naturalnie jadąc na tylnym kole. No i naturalnie jeden z nich wpadł na zabłąkaną ciężarówkę, która akurat w czwartek o pierwszej w nocy wykonywała swoją pracę. Praca polegała na zbieraniu śmieci z przystanku autobusowego. Jak go przywieźli jeszcze oddychał, ale umarł po dwudziestu minutach. Dr Gruber nigdy nie rozumiał po co oni to robią. Sam był motocyklistą i uważał, że jest to najwspanialszy środek transportu jaki człowiek kiedykolwiek wymyślił. Jednak wyznawał zasadę, która mówiła „Skoro zapłaciłeś za dwa kółka, to jedź na dwóch”. Była to dobra zasada. Dr Gruber strzepnął popiół z papierosa do popielniczki stojącej na biurku. Wskazówka zegara na ścianie dyżurki przeskoczyła na czwartą.

– Jeszcze tylko cztery godziny – pomyślał – Cztery godziny i ruszam dalej ratować życie i wypełniać misję, do której mnie powołano. Tym razem... – Dr Gruber wyciągnął tablet i otworzył kalendarz. – Przychodnia w Ursusie. Daleko cholera. Ale sto złotych za godzinę piechotą nie chodzi. – Dr Gruber był chirurgiem. Za godzinę dyżuru dostawał trzydzieści złotych. No, ale przecież wykonywał swoją misję. Powinien być wdzięczny społeczeństwu, że ono mu na to pozwala.

Dym z papierosa unosił się leniwą spiralą pod sufit.

– Jeszcze tylko cztery godziny – mruknął dr Gruber pod nosem i wyciągnął się w starym, metalowym fotelu, który zaskrzypiał ostrzegawczo. Deszcz miarowo bębnił w blaszany parapet za oknem. Dym z papierosa uciekał przez szparę w uchylonym oknie. Z oddali poprzez nigdy nie milknący szum miasta zaczął przebijać się ledwie słyszalny sygnał pogotowia. Dr Gruber zamknął oczy. Sygnał był coraz głośniejszy i ewidentnie się zbliżał.

– Kurwa – powiedział dr Gruber beznamyślnie. Zgasił papierosa, wstał i przeciągnął się chrupiąc stawami. Założył kitel i stetoskop oraz wyszedł z dyżurki. W pokoju zapanowała cisza. Resztką dymu uciekła pośpiesznie przez uchylone okno prosto w ciemną i gęstą noc. Deszcz bębnił miarowo o blaszany parapet. Wskazówka zegara przeskoczyła na czwartą pięć.

– Tracimy go kurwa! – krzyczała Julka. – Na noszach we wnętrzu karetki leżał człowiek. Leżał i umierał. Pochylona nad nim młoda, drobna lekarka krzyczała na ratowników.

– Ja chrzanię! Co jest? Powinien się po tym poprawić. Dawaj jeszcze! – powiedziała wyciągając rękę do ratownika siedzącego za nią. Sama była wciąż pochylona nad pacjentem. Ciemne blond włosy przycięte do połowy szyi opadały do przodu zasłaniając jej twarz. Drobne, zgrabne plecy poruszały się w szybkim oddechu. Wzięła strzykawkę od ratownika i odgarnęła nerwowym ruchem włosy z czoła.

– Tętno spada. Tracimy go – powiedział drugi ratownik wpatrzony w ekrany na ścianie karetki.

– Co ty kurwa nie powiesz! – burknęła Julka wbijając strzykawkę. – Pieprzony zawał u... – karetką szarpnęło na wyboju i przerwała w pół zdania. Sygnał wył jak opętany. Karetka pędziła po pustych ulicach Warszawy rozbryzgując kałuże.

– ... zawał u trzydziestolatka. No, o co chodzi z tymi ludźmi dzisiaj? Za grosz szacunku do samego siebie – dokończyła Julka przerwana myśl.

– Pani Doktor, przecież on nie ma żadnych oznak zawału. – powiedział ratownik. Był młody. To jego drugi wyjazd. Karetka szarpnęła na zakręcie i zmniejszyła prędkość.

– No widzę! A co to innego według ciebie? Facet umiera, serce staje, nagłe zatrzymanie krążenia? – pytała Julka.

– Dobra, wjeżdżamy do MSW – dobiegł głos z szoferki

– Szykować się! – zakomenderowała Julka. Sygnał ucichł w pół tonu jak Hejnał Mariacki, a karetka podskoczyła na wyboju. Z zewnątrz przez okna do wnętrza karetki wpadały mieniące się czerwono i niebiesko światła. Silnik zmniejszył obroty, a dźwięki echa z zewnątrz wskazywały na to, że wjechali do garażu. Silnik zgasł, drzwi otworzyły się z hukiem. Ratownicy wyskoczyli z karetki

i pobiegli wyciągać nosze. Julka doskoczyła do noszy i schyliła się nad mężczyzną. Pacjent wciąż oddychał. Od drzwi wejściowych do szpitala truchtał dr Gruber. Julka chodziła do niego na zajęcia z chirurgii w trakcie studiów.

– Co nowego? – zapytał zupełnie konwersacyjnym tonem podchodząc do noszy.

– Zapaść. Moim zdaniem zawał po amfetaminie chociaż nic poza tym, że bredził jak po dragach i łapał się za serce na to nie wskazuje – powiedziała Julka. – Gość jest całkowicie zdrowy. Poza tym, że po prostu umiera.

– I tak bywa – powiedział beznamiętnie dr Gruber. – Na salę intensywniej z nim – zakomenderował do ratowników. – Zaraz tam przyjdę. Julka poczekaj – dodał widząc, że lekarka biegła dalej za ratownikami. Stała i odwróciła się do niego. Dr Gruber podszedł do Julki bardzo blisko. Stał pod daszkiem przed wejściem do szpitala. Rynna rzygała chluśnięciami wody tuż obok ich nóg.

Z wnętrza szpitala było słychać oddalający się rozgardiasz chaosu spowodowany nowym pacjentem.

– Nic już nie zrobisz – powiedział dr Gruber prawie szeptem. – On już nie żyje. Serce pewnie stanęło. Reanimują go, ale to na nic. Widziałem już to.

– Co Pan mówi? Trzeba im pomóc – prawie krzyknęła Julka i chciała biec do szpitala. Dr Gruber złapał ją za ramię.

– Nie oglądaj tego. Nic nie zrobisz – powiedział uspokajająco. Julka wyrwała się i pobiegła do szpitala rzucając mu na pożegnanie pogardliwe spojrzenie. Dr Gruber został sam na dworze.

– Deszcz przestaje padać – pomyślał patrząc na rozjaśniające się na wschodzie niebo. – Będzie ładny dzień – westchnął. Poprawił kitel i ruszył spokojnym krokiem w kierunku wejścia do szpitala.

III.

Jonasz wyszedł przed apartamentowiec i wciągnął nosem powietrze przymykając przy tym oczy. Lubił zapach powietrza po deszczu. Orzeźwiała go ta lekko wilgotna woń parującego asfaltu i świeży zapach mokrej trawy. Jednak tym razem Jonasz nic nie poczuł.

– Muszę w końcu pójść do laryngologa – pomyślał. – Przez to ciągłe siedzenie w klimie tracę już węch.

Westchnął i ruszył pustą ścieżką do wyjścia z osiedla. Złapał za klamkę, wyszedł przed ogrodzenie i poszedł w kierunku tramwaju na ulicy Puławskiej. Słońce coraz raźniej przebijało się przez chmury, które wschodni, rześki wiatr przeganiał znad miasta. Mokre liście przydrożnych drzew prześwitywały w promieniach słońca delikatnie świeżą, rozwiniętą zielenią. Świat budził się do życia po zimowym śnie. Miasto budziło się do życia po ciężkiej deszczowej nocy.

Radek wyszedł na ulicę i skręcił w prawo. Ruszył różnym krokiem w stronę tramwaju na ulicy Puławskiej.

– Zaczekaj! – usłyszał okrzyk za sobą

– Magda, co ty robisz? Nie krzycz tak, ludzi pobudzisz jest czwarta rano – powiedział Radek odwracając się do biegnącej za nim kobiety. Radek był młodym prawnikiem. Był, jakby to powiedziała jego babcia „porządnym młodym człowiekiem”, który umiał o sobie zadbać. Zarabiał nieźle i nie narzekał na zdrowie. Dbał o formę i o odżywianie, a nade wszystko o obowiązki zawodowe i własny rozwój. Ogólnie powinien być szczęśliwym człowiekiem, ale wciąż mu czegoś brakowało.

Poznali się z Magdą jeszcze na studiach, ale jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, upłynęło dużo czasu nim doszło do pogłębienia znajomości. Wczoraj Magdę zostawił jej narzeczony przez co zakończyła długi, burzliwy i jakże irytujący dla Radka rozdział w jej życiu. Radek kochał Magdę od wielu lat i nigdy nie przestał wierzyć, że Magda również przejrzy na oczy. Przez te wszystkie lata był wiernym przyjacielem i towarzyszem w dobrych i złych chwilach, jednak momentami nie mógł znieść myśli, że pozostanie w tej roli do końca życia.

– Zapomniałeś o czymś – powiedziała Magda, podchodząc do Radka. Miała na sobie delikatny różowy szlafrok i puszyste kaptcie. Pierwsze promienie słońca tliły się delikatnym blaskiem w jej rozwichrzonych, orzechowych włosach. Niebieskie, błyszczące, ogromne oczy spoglądały na Radka z dziwną mieszanką zaciekawienia i uwielbienia. Magda wiedziała, że jej najlepszy przyjaciel, Radek czuje do niej coś więcej niż tylko przyjaźń i to od wielu lat. Ona jednak zaspokajała przez te wszystkie lata przede wszystkim swoje własne potrzeby, w które ten dość przystojny szczupły blondyn raczej się nie wpisywał. Magda potrzebowała wrażeń, rozrywki i ciągłego ryzyka, które gwarantowało brak nudy w związku. A przynajmniej tak jej się wydawało aż do wczoraj gdy zrozumiała, że to właśnie czułość i bezgraniczne oddanie, które oferował jej Radek są tym czego najbardziej pragnie.

Magda podeszła i pocałowała go w usta. W tym momencie Radek poczuł nagle przenikający go chłód. Taki chłód, który wnika w kości jak mroźna bryza w górach, jak morska woda, która dostała się za kołnierz, jak zimna wilgotna ziemia metodycznie pokrywająca ciało. Wargi Magdy na jego ustach wydały mu się brudne. Po prostu brudne, zimne i nieludzkie. Jej dotyk spowodował w nim wstrząs obrzydzenia.

– Odejdź ode mnie! – krzyknął Radek, odpychając Magdę gwałtownym ruchem. Magda upadła na chodnik i spoglądała na niego, próbując pojąć co się właśnie stało.

– Nie dotykaj mnie! Jesteś ohydna. Jesteś paskudna. Wykorzystywałaś mnie przez te wszystkie lata, a teraz chcesz ze mnie wyssać to, co mi zostało z życia! Nie pozwolę na to! Mam jeszcze resztki godności – krzyczał Radek, mierzając palcem w kobietę leżącą na chodniku.

– Ale Radek... – zaczęła Magda, zszokowana zachowaniem ukochanego.

– Milcz! Bezczelna wywłoka. Nienawidzę cię! – krzyknął i pobiegł na oślep przed siebie w dół ulicy Narbutta. Po krótkiej chwili ulicą poleciał urwany krzyk.

Magda otrząsnęła się i wstała z chodnika. Obejrzała się w stronę, w którą pobiegł Radek i zobaczyła go klęczącego na środku jezdni całkiem blisko od miejsca, w którym stała. Trzymał w dłoni nóż i spoglądał na niego bezradnie. Magda powoli na drżących nogach ruszyła w jego stronę. Z odległości około dziesięciu kroków zobaczyła, że z noża na asfalt kapią powoli i regularnie gęste, czerwone krople.

– Radek! – krzyknęła i pobiegła do ukochanego. Ten siedział wciąż na asfalcie i spoglądał na przecięty nadgarstek. Krew kapiała miarowo na asfalt i mieszała się z parującą na ulicy kałużą, pozostałą po nocnym deszczu.

– Magda. Co się dzieje? Co się stało? – Radek patrzył na nią bezradnym i mętniejszym wzrokiem.

– Zraniłeś się. Krzyczałeś i mówiłeś złe rzeczy. Chodź. Musisz iść do szpitala. – Magda ostrożnie wyjęła mu nóż z ręki i owinęła nadgarstek chustką wyjętą z kieszeni szlafroka. Materiał natychmiast nasiąknął krwią.

– Magda. Ja nic nie rozumiem. Jakie rzeczy mówiłem? Słabo mi... – Radek nagle opuścił głowę na piersi i osunął się na chodnik bez przytomności. Z pobliskiego balkonu zaszczekał pies.

– Pomocy!!! – krzyk kobiety poniósł się w dół ulicy powoli budzącej się z ciężkiej deszczowej nocy.

IV.

– Faceta znaleźliśmy w jego mieszkaniu na balkonie. Jak przyjechaliśmy rzucał się w konwulsjach i bredził – opowiadała Julka ściskając kubek parującej kawy. Dr Gruber siedział po drugiej stronie biurka w dyżurce szpitala MSWiA i palił papierosa. Dym leniwie unosił się spiralą pod sufit.

– Wezwała nas sąsiadka. Mówiła, że wyszła na balkon podlać kwiaty, bo w nocy jest chłodniej i usłyszała jakieś krzyki z balkonu obok. – kontynuowała Julka ze wzrokiem wbitym w kubek. Para osadzała się na końcówkach jej ciemnych blond włosów. Dr Gruber milczał i przyglądał się jej uważnie.

– Weszliśmy przez drzwi do mieszkania. Sąsiadka miała klucz. Podobno dobra znajoma tego gościa. Prawnikiem był czy kimś takim. A może ekonomistą? Wiesz jednym z tych co siedzą w tych szklanych domach przy ONZ i zarządzają światem – ciągnęła dalej Julka.

– Gdzie to było? W sumie nie powiedziałaś jeszcze gdzie to było. – powiedział dr Gruber. Było to pierwsze co powiedział od zapytania się czy Julka życzy sobie kawy, i czy z mlekiem. Julka podniosła wzrok nad kubka kawy jakby nieco zaskoczona.

Można powiedzieć, że dr Gruber był przystojny. Czarne włosy i lekki zarost nadawały mu wyglądu charakterystycznego dla modeli z okładek czasopism z tym typem urody sugerującym kobietom, że reprezentuje jednak ogólnie rzecz biorąc południową część społeczeństwa Europy. Niemniej spojrzenie jego niebieskich oczu, wiecznie obce i zamyślane, jakby znudzone tym, że musi wciąż przebywać w tym miejscu, w którym w danym momencie przebywa i oglądać świat dokoła sprawiało, że z pewnością żaden szanujący się redaktor kobiecego lub jakiegokolwiek innego czasopisma nie wykorzystałby jego wizerunku. Julka pamiętała to spojrzenie jeszcze z czasów studiów na Akademii Medycznej. Wtedy ona,

cała przejęta rolą jaka przypadła jej w udziale poprzez możliwość nauki sztuki medycyny, nie mogła zrozumieć dlaczego ktoś podchodzi do kwestii tak wspaniałych w swojej istocie jak leczenie ludzi w sposób do tego stopnia pozbawiony emocji jak dr Gruber. Cieszył się on niezwykłym szacunkiem studentów, ale w żaden sposób nigdy nie okazywał tego, że robi to na nim jakiegokolwiek wrażenie. Natomiast Julka pamiętała, że inni lekarze wspominali o nim zawsze z lekką wyższością i nutą pogardy w głosie. On jednak zdawał się tego nie zauważać i tylko patrzył przed siebie tym nieobecny wzrokiem.

– Na Mokotowie, tu niedaleko. W takim eleganckim apartamentowcu – powiedziała Julka opuszczając wzrok z powrotem na kubek z kawą. – Kobieta paplała ciągle bez sensu przejęta, że on tak dużo pracuje, że kogoś ma, że taki miły i uprzejmy, że go ciągle nie ma, ale jak przyjdzie to zapyta co pomóc, jak leci. Ogólnie gadała bez sensu. Nie pamiętam wszystkiego nawet. Gdy weszliśmy na balkon to wyglądało jak atak padaczki. Oczy uciekły mu w tył i jeszcze bredził... Gadał jakoś tak dziwnie jakby po niemiecku, ale jakoś inaczej. Może po szwedzku?

– Jidysz – powiedział Dr Gruber wodząc oczami za muchą urządzającą ślalom synchroniczny z dymem z papierosa wokół lampy na suficie

– Czym? – zapytała w pierwszej chwili Julka wyrwana z rytmu.

– Jidysz – powtórzył Dr Gruber. – Język Żydów.

– No przecież wiem co to jidysz – odparła Julka odgarniając blond włosy za ucho pewnym siebie ruchem. I nagle lekko przestraszona dodała. – Skąd Pan wie?

– Widziałem to już kiedyś – powiedział dr Gruber, strącając popiół z papierosa. – Wtedy to była kobieta. Również około trzydziestki i też, jak się wydawało, w pełni sił i zdrowa. Też zamożna i również samotna. I też takie same objawy, drgawki, konwulsje, bredzenie w dziwnym języku i podejrzenie zawału po przedawkowaniu amfy. Jeden z ratowników poznał, że ten język to Jidysz. Nie wiem skąd to wiedział. Musiał się znać. Nawet nie pamiętam skąd ją przywieźli, ale chyba też gdzieś z Mokotowa. Była równie martwa jak dzisiejszy pacjent choć oddychała jeszcze w szpitalu. Widziałem też już wcześniej takie przypadki i to nie tylko w tym szpitalu.

– Po latach pracy w pierwszej chwili da się rozpoznać, że kogoś już tam nie ma, że uszło z niego życie – ciągnął dalej dr Gruber. – Tak samo było z tym facetem. Jak wyciągnęliście go z karetki to od razu przypomniała mi się tamta kobieta. Fioletowe powieki i palce, niesamowita bladość i to uczucie że patrzysz na trupa. Oddychającego, ale jednak trupa. Organy wewnętrzne jeszcze próbują działać, pobudzone resztką impulsów elektrycznych płynących z mózgu, ale człowieka tam już nie ma. Jakby został wyspany, albo wyskoczył gdzieś po drodze.

Julka milczała zapatrzona w niewidoczny punkt w przestrzeni przed sobą.

– Idź się prześpij – powiedział dr Gruber spoglądając na nią z pewną dozą czegoś, co Julka z nieśmiałym zadowoleniem odczuła jako troskę. – Miałaś ciężką noc.

– Tak. Lepiej już pójdę – przyznała Julka zmęczonym głosem. Wstała z krzesła i skierowała się do drzwi. Chwyliła za klamkę i odwróciła głowę.

– Dziękuję za kawę – powiedziała i uśmiechnęła się smutno na pożegnanie. Dr Gruber nie odpowiedział. Julka otworzyła drzwi i wyszła z dyżurki.

– Taka miła dziewczyna – pomyślał Dr Gruber zostawiony sam w pokoju. Po chwili otrząsnął się z rozmarzenia. – Za długo już sam idę tą drogą.

Za oknem słońce świeciło już w pełni. Promyki światła przeciskały się mozolnie i wytrwale przez na wpół zasunięte żaluzje w oknie dyżurki szpitala MSWiA.

– Będzie ładny dzień – mruknął dr Gruber. Zgasił papierosa, podsunął bliżej siebie papiery leżące na biurku i zaczął je przeglądać, metodycznie rozdzielając na dwa stosy i pisząc coś na niektórych zamasztyłym ruchem.

V.

Słońce rozświetlało radosnym blaskiem ulicę. Mokry asfalt skrzył się srebrzyście jak tafla jeziora, na której w świetle wieczornego słońca żeruje ławica drobnych rybek. Mimo swoich wysiłków, słońce nie zdołało jednak jeszcze zagnać do mrocznych zakamarków bram i studzienek kanalizacyjnych wszystkich pozostałości chłodnej, deszczowej nocy. Jonasz szedł jak zwykle szybkim krokiem w kierunku tramwaju. Spieszył się do pracy, ale pomyślał, że nigdy nie zastanawiał się nad tym jaka piękna jest okolica, w której mieszka. Właściwie to odkąd przyjechał do Warszawy na studia to niewiele się zastanawiał nad pięknem tego miasta. Nie czuł jego klimatu. Na studiach się uczył i imprezował, więc znał tylko swój akademik i kluby oraz puby w Śródmieściu. Po studiach, gdy dostał dobrą pracę w renomowanej firmie doradczej, gdzie praktykował już w trakcie studiów, nie miał czasu wychodzić na miasto chyba, że ze znajomymi z pracy. Albo z klientami. Wtedy chodzili jednak w kilka z góry znanych miejsc, bo nikt nie miał czasu ani ochoty zastanawiać się gdzie iść. Miasto postrzegał jako pracę, swoje mieszkanie blisko dawnej uczelni oraz drogę z mieszkania do pracy, którą odbywał najczęściej zatłoczonym tramwajem. Jonasz, podobnie jak wielu innych ludzi pracujących na bogactwo tego miasta wieczorami i w weekendy, uważał je za bezduszne i brzydkie. Teraz jednak patrząc na spokojnie parujący asfalt i pięknie rozświetlone domy przy cichej, porannej ulicy zaczął się zastanawiać czy czegoś przypadkiem nie przegapił przez te wszystkie lata. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć mężczyzny i kobiety rozmawiających na chodniku przed wejściem do domu pod numerem dziewięć. W pewnym momencie kobieta zbliżyła się do mężczyzny i pocałowała go w usta. Jonasz zauważył obejmujących się ludzi w ostatniej chwili. Miał wrażenie jakby wyrosli spod ziemi bezpośrednio przed jego twarzą. Usiłował ich wyminąć, ale jako że szedł dość szybkim krokiem, zawadził mężczyznę lewą ręką. Nie zdziwił go fakt, że nie poczuł

zwyczajnego w takich przypadkach lekkiego uderzenia o cudze ciało i odbicia barku. Niemniej mruknął cicho „Przepraszam” i poszedł dalej.

Pięć minut później, stojąc na pustym przystanku tramwajowym poczuł się niesamowicie rześko i pełen sił. Spojrzał w niebo. Chmury płynęły z jakąś niesamowitą szybkością, jak na przyspieszonym filmie. Świat wokół nabrał jaskrawych barw. Przejeżdżający obok samochód zarysował się Jonaszowi przed oczami rozmazaną kreską.

– W sumie, to po co mam czekać na ten tramwaj. Biegnę na ONZ – pomyślał Jonasz i ruszył biegiem wzdłuż ulicy Puławskiej w kierunku Śródmieścia. Gołąb wybierający resztki kebaba z przydrożnego śmietnika poruszał głową w opętańczym tempie. Świat wokół Jonasza rozmazał się i wszystko zawirowało w fioletowo pomarańczowej tęczy. Jonasz zobaczył wieżowiec, w którym pracował, jak ten zniknął wessany przez wir fioletowego światła. Opętany gołąb tłukł głową o śmietnik na chodniku. Kolory wirowały coraz szybciej i szybciej. Jonasz stał na ulicy i smugi światła przenikały przez niego jak mroźny wiatr. Nagle wśród rozszalałego żywiołu światła i kolorów Jonasz zobaczył postać. Pomyślał, że gdzieś już ją widział. Postać była ubrana cała na biało. Wydawało się, że była to kobieta, choć Jonasz nie był w stanie tego stwierdzić z całkowitą pewnością. Postać stała nieruchomo pośród fioletowo pomarańczowego wiru oraz śmigających smug światła i miała spuszczoną na piersi głowę. Czarne włosy opadały do przodu i zasłaniały jej twarz. Jonasz chciał zrobić krok naprzód, lecz w tym momencie postać podniosła gwałtownie głowę i Jonasz zauważył, że nie miała ona twarzy, a jedynie płonące na czerwono oczy. Na chwilę wszystko się zatrzymało i fioletowo–pomarańczowy wir wypluł krajobraz dokoła. Jonasz stał pośrodku gruzów zrujnowanej ulicy. Widział już gdzieś tę ulicę. Tak, to było w Muzeum Powstania Warszawskiego. Zrujnowana ulica Puławska, a w tle dymiąca Warszawa. Wszędzie unosił się kurz i pył gruzowiska. Po bokach ulicy na chodniku leżały trupy. Po prostu tam leżały, a gołąb wściekle uderzał głową w udo zwłok młodego mężczyzny w niemieckim mundurze z biało-czerwoną opaską na ramieniu. Nagle Jonasz usłyszał płacz. Nie, nie był to płacz. To był szloch. Beznadziejny i szczerzy do bólu szloch osoby, której nic już nie pozostało, przepełniony suchą rezygnacją. Osoby, która nic już nie zobaczy, która wszystko straciła. Szloch dochodził z kąta ulicy spod deski opartej o

zrujnowaną ścianę. Jonasz zszedł z pokrytej szkłem i gruzem jezdni i odsunął deskę z drżącym sercem. Siedziała tam skulona dziewczyna w podartej białej sukience poplamionej krwią. Na kolanach trzymała jakiś przedmiot, który tuliła do piersi. Jonasz zdał sobie sprawę, że tym przedmiotem jest ludzka głowa. Przerażony spojrział lekko w lewo i zauważył bezgłowe ciało mężczyzny ubrane w czarny płaszcz. Jonasz wrócił wzrokiem do dziewczyny i napotkał jej wzrok. Wzrok upiornych czerwonych oczu. Utopił się w nich i skonał. Zniknął i zapadł się w czarną otchłań.

Na ulicy Puławskiej zaczął padać świeży letni deszcz i skrzył się kroplami na nie do końca jeszcze wyschniętym asfalcie.

VI.

– Pomocy! – ulicą niósł się rozpaczliwy krzyk kobiety. – Pomocy! – Pośrodku ulicy, wśród strug ciepłego letniego deszczu klęczała kobieta. Na kolanach trzymała głowę mężczyzny. Mężczyzna, ubrany w skórzaną kurtkę i przetarte na kolanach dżinsy, leżał na środku ulicy bez życia.

Rozległ się głuchy gulgot silnika. Obok zatrzymał się motocykl. Krople letniego deszczu parowały z rozgrzanego silnika. – Spokojnie. Pomogę pani – powiedział kierowca uspokajającym tonem. Zsiadł z maszyny i podszedł do kobiety klęczącej na ulicy. Krople deszczu spływały po długich, jasnych włosach nieznanego, kumulując się na ich końcówkach. Blondyn krótkim spojrzeniem ocenił sytuację. Wyciągnął z sakwy motocykla niewielką torbę i wrócił do kobiety.

– Co się stało? – zapytał.

– Nóż... Przeciął sobie żyły... Nie wiem co się stało naprawdę nie wiem – mówiła kobieta roztrzęsionym głosem – kochaliśmy się. Spędził u mnie noc a potem to. Zaczął krzyczeć, a potem wyciągnął nóż. O, tam leży. – Kobieta wskazała na przedmiot leżący przy krawężniku.

– Spokojnie – powtórzył mężczyzna opatrując nadgarstek leżącego mężczyzny – zadzwoniłem już po pogotowie. Zaraz się tu zjawią. Nie mają daleko. Pani mężowi nic nie będzie.

– To nie jest mój ... – powiedziała kobieta, odwracając się do przybysza, ale już go nie było. Deszcz powoli przestawał padać.

Dr Gruber wyszedł przed główne wejście do szpitala. Zauważył, że przed chwilą znowu padało.

– Co za kraj do kurwy nędzy. Nic tylko pada – pomyślał. Właśnie skończył dyżur, podpisał wszystkie papiery i wyszedł ze szpitala. Na ławce przed szpitalem siedziała Julka, cała przemoknięta. Ze szpitala wyjechała karetka na sygnale i pognęła w dół ulicy.

– Julka! Miałaś iść do domu! – krzyknął dr Gruber podhcodząc do niej szybkim krokiem. W tym momencie usłyszał warkot silnika. Rozpoznał dwucylindrową v-kę. Pojemność około litra. Motocykl wyłonił się znikąd i podjechał do ławki, na której siedziała Julka.

– Czekałam na ciebie, ale... – powiedziała i urwała widząc zbliżającą się do nich maszynę. Na motocyklu siedział mężczyzna o gładko ogolonej twarzy i długich, jasnych i prostych włosach. Nie nosił kasku, a jedynie duże gogle na oczach. Dr Gruber widział takie gogle na zdjęciach przedwojennych kierowców wyścigowych. Włosy miał przewiązane białoniebieską opaską zakrywającą też część czoła. Intruz był ubrany w biało-brązowe ponczo i spodnie pozszywane z różnokolorowych kawałków materiałów. Na nogach miał czarne, motocyklowe, sportowe buty, które nijak nie pasowały do reszty stroju.

Dr Gruber stanął jak wryty. Motocyklista zatrzymał się przed Julką, która siedziała również oniemiała z wrażenia. Mokre blond włosy oklejały jej delikatną, dziewczęcą twarz.

– Pani Julia Wencel? – zapytał motocyklista, obracając głowę w stronę Julki. Silnik gulgotał na niskich obrotach i wydawało się, że zaraz zgaśnie.

– Tak... – mruknęła Julka z niezbyt poważnie rozdziawioną buzią.

– Proszę wsiadać – powiedział motocyklista wskazując na tylne siedzenie motocykla urękawiczoną dłonią. Julka nawet nie drgnęła.

– Zaraz, zaraz! – krzyknął ocknąwszy się dr Gruber. – Kim pan jest i czego pan od niej chce?!

Motocyklista podciągnął gogle na czoło, kopnął nóżkę i postawił motocykl gasząc silnik. Chwilę siedział nieruchomo, a następnie ściągnął gogle i zsiadł z maszyny. Odwrócił się do dr. Grubera i wtedy ten zobaczył jego twarz. Dwie pionowe blizny zdobiły jego oblicze od czoła do szczęki przez co twarz wydawała się przedzielona na trzy części. Najdziwniejsze były jednak jego oczy. Tęczówki miały żółty kolor i były wypełnione poziomymi źrenicami. Dr Gruber zdążył to dostrzec zanim intruz założył

ciemne okulary wyciągnięte z sakwy zawieszanej na kierownicy motocykla.

– Maurycy Wielowieyski. Zmorak – powiedział motocyklista skłaniając się lekko. – Proszę wybaczyć mój brak manier. Pani Julio, czy możemy już jechać?

– Dokąd pan ją zabiera? – zdenerwował się dr Gruber.

– Panie Doktorze – powiedział Zmorak. – Pani Julia była świadkiem zdarzenia, które może istotnie przyczynić się do skutecznego zakończenia śledztwa, które prowadzę. Chciałbym, żeby pani pojechała ze mną na miejsce zdarzenia. A teraz pani pozwoli... – wyciągnął dłoń w kierunku Julii.

– Jakiego śledztwa? Pan jest z policji? – dr Gruber ponownie zlustrował postawną sylwetkę stojącego przy motocyklu mężczyzny.

– Nie. Mówiłem już. Jestem Zmorakiem – powiedział i odwrócił się do Julki. – Pani Julio, czy tej nocy przywiozła Pani do tego szpitala pacjenta?

– Tak – odpowiedziała Julia.

– Czy może Pani mi wskazać miejsce skąd odebraliście pacjenta? – zapytał Maurycy.

– Oczywiście – powiedziała Julka

– To był trup, drogi panie – wtrącił już spokojniej dr Gruber zbliżając się do rozmawiających przy motocyklu. – W sensie biologicznym jeszcze żył jak go przywieźli, ale w tym ciele nie było już człowieka. Widziałem to już wcześniej... – Maurycy Wielowieyski odwrócił się do dr Grubera.

– Kidy pan to widział, doktorze? – zapytał.

– Dwa tygodnie temu – odpowiedział dr Gruber, gładząc kierownicę motocykla. – Miałem dyżur, podobnie jak dziś w nocy. Karetka przywiozła kobietę w wieku około trzydziestu lat. Wszystkie badania wskazywały na to, że jest zdrowa. Poza tym, że była martwa. Podstawowe funkcje organizmu działały jeszcze przez dwie godziny po przywiezieniu do szpitala, ale nic się już nie dało zrobić. Podobnie jak zeszłej nocy u tego faceta nic się nie dało zrobić. Znaleźli ją w jej mieszkaniu, nie pamiętam gdzie to było, ale chyba gdzieś tu na Mokotowie. Gdy weszli leżała i trzęsła

się w konwulsjach. Ratownik, który ją przywiózł twierdził, że bredziła w jidysz. – Zmorak słuchał uważnie.

– Tu było dokładnie tak samo – dodała Julka.– On nie żył jak go przywieźli. To znaczy w sensie biologicznym organizm funkcjonował przez chwilę, ale nic się już nie dało zrobić. W pewnym momencie wszystko stanęło. Zostaliśmy wezwani do mieszkania przy ulicy Reytana 17, nie pamiętam numeru mieszkania. Na pewno na ostatnim piętrze. Otworzyła nam sąsiadka, która wezwała pogotowie i miała klucz do mieszkania. Facet leżał na balkonie w swoim mieszkaniu i trzął się w konwulsjach. Gadał w dziwnym języku. Możliwe, że był to jidysz. Podaliśmy leki i zabraliśmy go do karetki. Na noszach znieruchomiał i nie dawał już znaków życia. Nazywał się Jonasz Kochański.

– Dziękuję. To mi wystarczy – powiedział Zmorak. – Panie doktorze, czy ratownikiem, który przywiózł tę kobietę dwa tygodnie temu był Tymoteusz Rąbek?

– Tak, ale skąd Pan wie? – zdziwił się dr Gruber.

– Rozmawiałem z nim – odpowiedział Zmorak. Następnie wsiadł na motocykl, odpalił silnik i odjechał bez słowa więcej. Dr Gruber podszedł do Julki.

– Co to za dziwny facet? – powiedziała Julka.

– Dzisiejszy świat produkuje wielu dziwaków – odparł dr Gruber. – Chodź. Odprowadzę cię do domu – powiedział i objął Julkę ramieniem.

VII.

Gęsty mrok unosił się w powietrzu, gdzieniegdzie tylko ustępując niespiesznie i leniwie ciepłym promieniom latarni. Noc przecisnęła się pomiędzy zwisającymi nisko nad ścieżką gałęziami dębów i przykleiła się do mokrych ścieżek Ogrodu Saskiego. Smolista cisza, przetykana gdzieniegdzie szumem ulicy i delikatnym pluskaniem fontanny pływała pomiędzy ławkami i klombami wzdłuż dawnej Osi Saskiej. Rzeźby muz stały dumnie jak zawsze wzdłuż Osi i opierały się falom ciemności opływającym je jak przypyływ morską latarnię. Od pobliskiej topoli oderwał się cień i na chwilę zniknął. Następnie znów był widoczny w wątlym świetle kolejnej latarni i znów zniknął.

– To idzie on... – w noc poleciał zgrzytliwy szept.

– Tak to on... Ciiiiicho... – zagrzechotał głos w odpowiedzi. Zgrzytnął kamień o kamień. Oczy rzeźby Inwencji zapłonęły ciemnozielonym światłem.

– Non Aliunde – powiedziała Inwencja, obracając głowę w lewo.

– Ad Operam – odpowiedział Cień stojący u jej stóp.

– Czy wykonałeś zadanie? – zagrzechotała Inwencja.

– Czy wykonał? Czy wykonał? – zawtórowały ciche głosy dobiegające od pozostałych rzeźb.

– Nie – powiedział Cień – Żądam podwójnej stawki – dodał beznamiętnym głosem.

– Dostaniesz tyle ile stoi w umowie – odpowiedziała Inwencja wyniośle.

– W umowie nie było mowy, że północnica wyszła poza swój rewir – powiedział Cień odwracając się w mrok. – Ani, że rozpoczęła żer... – dodał głucho.

– Duch Hanki ma zniknąć. Taka była umowa. Nie interesują mnie żadne północnice ani ich rewiry – powiedział głos dochodzący z wnętrza rzeźby.

– Nie jestem jakimś egzorcyستą. Jestem Zmorakiem i mówię jak jest. To już nie jest Duch Hanki. To najprawdopodobniej zmora powstała na bazie północnicy. Nie wiem jak ani skąd się wzięła, ale wiem, że zabiła co najmniej dwoje ludzi, a teraz prawdopodobnie żywi się na ich duszach i rośnie w siłę – powiedział Cień.

– Nie jest to przedmiotem umowy. Willa Arpada Chowańczaka ma zostać oczyszczona w imię zachowania Równowagi. Takie jest zlecenie – odpowiedziała rzeźba

– Cena ma być dwukrotnie wyższa niż w kontrakcie, albo sobie wezwij Ghost Busters – dodał, odwracając się od rzeźb Maurycy Wielowieyski. Ponczo, które nosił sprawiało, że sam wydawał się duchem sunącym ponad parkową ścieżką. – I nie pouczaj mnie na temat Równowagi. Dobrze wiem co ona oznacza i nie koniecznie mieści się w tym pojęciu bezgraniczna ekspansja w imię zysku. Nawet jeśli chodzi o willę, a właściwie jak rozumiem grunt na którym stoi, w jednej z najbardziej atrakcyjnych dzielnic Warszawy.

Oczy Inwencji rzuciły pojedyncze ciemnozielone błyski w ciemność przykrywającą park. Maurycy ruszył w kierunku fontanny.

– Dobrze już dobrze. Niech będzie moja strata – powiedziała nadąsanym głosem rzeźba. Zmorak zatrzymał się lecz wciąż stał tyłem. Inwencja wyciągnęła przed siebie rękę z przeciągłym zgrzytem kamienia o kamień. Z dłoni wysunął się staromodny pergamin.

– No co? Nie sprawdzisz? – powiedziała rzeźba głosem już całkowicie obdartym z aury tajemniczości.

– Po co? Jakbyś oszukał to przecież wiesz co cię czeka. Są jeszcze jakieś zasady – powiedział Maurycy i rozpląnął się w mroku.

– Jebany kapitalizm – powiedziała Inwencja.

Drzewa zaczynały szumieć coraz mocniej i mocniej szarpane gwałtownymi podmuchami wiatru. Zbierało się na zmianę pogody.

Wstawał pochmurny świt. Nocna zmiana pogody zaowocowała nadejściem nad miasto chmur niżowych i kompletnym odcięciem ulic od świeżego, bezpośredniego światła słonecznego. Lekki wiatr niósł w sobie resztki chłodu. Chmury biegły po niebie ścigając się w kierunku zachodniego krańca nieba.

Maurycy Wielowieyski, Zmorak, siedział w kącie ciemnej bramy przy ulicy Narbutta. Miał na sobie kolorowe spodnie i biało-brązowe ponczo. Włosy lekko bujały się na wietrze wirującym w zaułku bramy. Na ulicy panowała poranna cisza.

– Cisza przed burzą – pomyślał Maurycy patrząc się nieruchomo na wyjście z kamienicy naprzeciwko. Jeśli się nie pomylił w przypuszczeniach, to przynęta powinna się tu pojawić niebawem. Maurycy przypuszczał, że osoby które zmarły w szpitalu MSWiA, o których rozmawiał wczoraj z lekarzami, to ofiary zmory. Prawdopodobnie zmora naruszyła kruchą równowagę ich organizmów powodując śmierć, jednocześnie przywiązując ich dusze do konkretnego miejsca. Ludzie zmęczeni i samotni, a takich zdawało się w dzisiejszym czasie nie brakować, byli zawsze łatwym łupem dla zmor. Maurycy postawił na tego ostatniego mężczyznę, który zginął wczoraj w nocy. Prawdopodobnie to on był przyczyną dziwnego zachowania człowieka, którego był świadkiem w tym miejscu wczorajszego dnia. Lekarka, Julia, tylko potwierdziła jego przypuszczenia wskazując miejsce śmierci ofiary. Maurycy podejrzewał, że zmarły nie wie, że umarł a ponadto jego dusza wpadła w zapętlenie, które powoduje, że codziennie będzie powtarzać czynności z pierwszego dnia po śmierci aż do momentu, w którym prawdopodobnie dorwała go zmora. Dziś pewnie też będzie tam na niego czekać, więc Zmorak postanowił to wykorzystać.

– Myśliwy musi być cierpliwy. – Tak powtarzał mu Radien-pardne, noaidi, u którego Maurycy odbywał ostatnie praktyki przed uzyskaniem uprawnień do tropienia i polowania na zmony. Zmony to odpowiedniki przestępców u ludzi żywych. Na Dalekiej Północy światy duchów i ludzi przeplatały się ze sobą i stanowiły jedną część większego świata Przyrody. Duchy zmarłych przodków, czyli inaczej mówiąc Podziemcy, saivowie, żyli tam obok ludzi. Ukazywali się niektórym ludziom, ale z reguły pozostawali

dla nich niewidzialni. W okolicy, w której Maurycy odbywał praktyki, saivowie żyli w Passe Vare, czyli Świętych Górach, obok wszystkich innych stworzeń Natury. Jednak, pomimo, że oba światy współistniały harmonijnie w ramach jednej Natury to należało zachować odstęp pomiędzy nimi. Dusze, które zbyt blisko zbliżyły się do ludzi przypominały sobie o przeszłości i pragnęły do niej wrócić. Pragnęły znowu żyć i uczestniczyć w codziennym życiu żywych. Ponadto dusze żyły w ramach Natury i tak samo jak inne stworzenia żywiły się i funkcjonowały dzięki niej. Zbytne zbliżenie pomiędzy przedstawicielami obu części świata najczęściej powodowało, że dusze w sposób niejako automatyczny pobierały siły do funkcjonowania od żywych powodując przy tym choroby, osłabienie, szaleństwo czy nawet śmierć osób, z którymi się zetknęły.

I w tym miejscu zaczynała się rola noaidów. Dbali oni o zachowanie Równowagi pomiędzy dwiema częściami świata Natury, jak również o zachowanie Równowagi w ramach każdej z części. W części duchów ludzi, zwierząt i roślin również zdarzały się zachwiania naturalnej Równowagi lub występowanie duchów, które dopuszczały się czynów przeciwnych prawom natury i rolą noaida było ścigać przestępców i wymierzać im karę lub doprowadzić do przywrócenia Równowagi pomiędzy żywymi a saivami. Radien-pardne w ramach praktyk zabierał Maurycyego do miejsc, w których żyli saivowie. Tam regularnie kontrolowali razem stan Równowagi i rozmawiali z duchami przodków. Maurycy jako przyszły Zmorak miał zobaczyć jak wygląda świat, w którym do zachowania Równowagi jest potrzebna obecność i doświadczenie noaida, a walka i polowanie na zmory jest ostatecznością. Zmoracy mają ratować i łątać system, w którym świat żywych, a konkretnie świat ludzi coraz bardziej spychał na bok wszystkie inne elementy Natury. Zmoracy mają być noaidami współczesnego świata. Mają dbać o zachowanie kruchej Równowagi pomiędzy częściami Natury, która w rozwiniętym świecie od epoki postindustrialnej wciąż pęka. Zmoracy zostali w końcu powołani do funkcjonowania dla ochrony ludzi przed skutkami zachwiania Równowagi, ale również do ochrony ludzi przed ich własnymi poczynaniami. Inaczej mówiąc Zmoracy byli myśliwymi, polowali na zmory. A myśliwy musi być cierpliwy...

– Łatwo być cierpliwym jak się ma pusty pęcherz – pomyślał Maurycy, wciąż siedząc bez ruchu owinięty w ponczo. Na oczach miał gogle

motocyklowe, a jasne, proste włosy spinała mu opaska z biało-niebieskich materiałów. Wiatr zaczynał przynosić do jego wyczulonych uszu pierwsze odgłosy budzącego się do biegu miasta. Miasta, w którym trudno było o bezrobocie i nudę, szczególnie, jeśli zarabia się na życie jako Zmorak.

Po ukończeniu szkolenia, które odbywał odkąd skończył dziesięć lat, Maurycy zdecydował, że rozpocznie pracę właśnie tu, w Warszawie, w Polsce, w kraju z którego wywodzili się jego przodkowie. Radies-pardne, który był jednym z członków kolegium zatwierdzającego Maurycego jako Zmoraka powiedział mu wtedy, że to dobry wybór. Maurycy dobrze pamiętał, że Radies-pardne był jedynym, który tak wtedy stwierdził. Mimo to Maurycy przyjechał do Polski i oto właśnie wykonywał pierwsze zlecenie. Teoretycznie było to proste zlecenie: w willi przy ulicy Morskie Oko straszy i dzieją się dziwne rzeczy. O tym, że Duch Hanki mieszka w willi Arpada Chowańczaka, byłego Króla Futer przedwojennej Warszawy, wiedzieli wszyscy okoliczni mieszkańcy. Wszyscy znali też legendę jak to w trakcie wojny w willi zbierali się Powstańcy przed wyruszeniem na akcje. Pewnego wieczoru w willi znalazła też schronienie żydowska dziewczyna imieniem Rachela. Uciekła z łapanki na Mokotowie i schroniła się w pierwszym budynku jaki napotkała na drodze swojej ucieczki. Gdy wrócili Powstańcy, pozwolili dziewczynie zostać i żeby nie wzbudzać podejrzeń nazwali ją Hanką. Jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, Rachela zakochała się w jednym z Powstańców, ze wzajemnością zresztą. Wojenna miłość rozkwitała w krótkich chwilach, które para spędzała razem w willi i rosła, gdy chłopak przebywał na akcji. Rosła tak jak nie przymierzając kwiaty w ogrodzie przed willą Chowańczaka, które Rachela zwana Hanką postanowiła pewnej nocy zerwać dla swojego ukochanego, żeby powitać go, gdy wróci z kolejnej akcji. Nie wiadomo jak i dlaczego, ale Rachela została zastrzelona w ogrodzie tej nocy. Powstańcy nigdy tam nie wrócili. Rachela nie wiedziała, że umarła i prawdopodobnie do dziś nie wie. Czeka tam wciąż na Powstańców z bukietem kwiatów, a dom stoi opuszczony. Wielokrotnie chciano go remontować i nie raz zmieniał właścicieli, ale zawsze z jakiegoś powodu nikomu nie udało się ani go zmodernizować, ani w nim zamieszkać na stałe. Willa w pięknej i drogiej lokalizacji na warszawskim Mokotowie stoi pusta. Ale wkrótce ma się to zmienić. Zagraniczny deweloper kupił zapuszczoną willę i chciał ją

przerobić na apartamentowiec dla współczesnych „warszawskich królów futer”. Na teren posiadłości wjechał ciężki sprzęt i wtedy zaczęły się problemy. W sumie były to takie same problemy jak u poprzednich właścicieli, ale tym razem inwestor miał więcej pieniędzy do zarobienia. Więc mimo wypadków inwestor próbował dalej i dalej, aż udało mu się w końcu naruszyć część ściany budynku. I wtedy zaczęły się poważniejsze kłopoty. Główny inspektor budowy nagle zachorował na raka i odszedł z pracy. Dwóch robotników miało poważny wypadek w drodze na plac budowy. Z kolei dwóch innych zostało poparzonych w pożarze, który wybuchł w budynku nie wiadomo z jakiego powodu. Maurycy wiedział, że Duch Hanki z legend bronił swojego terytorium przed intruzami. Rachela zmarła w momencie, w którym oczekiwała powrotu ukochanego. Możliwe, że łączyło ich już coś więcej? Może chłopak oświadczył się dziewczynie przed śmiercią? Prawdopodobnie robotnicy naruszyli w trakcie robót jakieś miejsce, z którym Rachela czuła silny emocjonalny związek. Może zniszczyli ubranie ukochanego? Może ukradli pierścionek zaręczynowy, lub coś co pełniło jego rolę? W każdym razie Rachela zamieniła się najprawdopodobniej w północnicę, co tłumaczyłoby choroby i wypadki robotników. Jednak jak się teraz okazało, północnica, która zawsze jest przywiązana do swojego miejsca, najczęściej miejsca śmierci, rozszerzyła swój rewir. Ponadto wszystko wskazywało na to, że zaczęła żerować na żywych. Maurycy nie wiedział co było przyczyną tej zmiany zachowania, ale jednego był pewien – zmorę należy wyeliminować. Poprzednio myślał, że uda się to załatwić zwykłym przywróceniem Równowagi poprzez przeniesienie Racheli w inne miejsce, albo zidentyfikowanie przyczyny zamiany w północnicę i odmianę do postaci nieszkodliwego ducha. Teraz jednak był pewien, że czeka go polowanie i walka. A myśliwy musi być cierpliwy...

Zmorak siedząc nieruchomo jak posąg nie zmniejszył czujności ani na chwilę. Jeśli jego przypuszczenia były prawdziwe, to niedługo Jonasz Kochański powinien pojawić się na ulicy zmierzając w kierunku tramwaju. Najłatwiej polować u wodopoju... Dochodziła czwarta. Chmury goniły po niebie jedna za drugą ani na chwilę nie przepuszczając promieni słońca.

Nagle do wyczulonych uszu przyczajonego Zmoraka doleciał nikły odgłos. Przypominał miarowe stukanie drewnem o kamień.

– Kroki – pomyślał Maurycy. Odgłos był coraz bliższy i nagle na scenę obserwowaną przez ukrytego Zmoraka wkroczył główny bohater. Jonasz Kochański był ubrany w czarne spodnie i niebieską koszulę. Miał krótko przycięty kilkudniowy zarost i czarne włosy. Lekko zgarbiona sylwetka dopełniała wyglądu typowego pracownika biurowego – klasy średniej współczesności zaprzęgniętej do pług postępu. Jonasz szybkim krokiem szedł w stronę tramwaju. Jednak kroki, które słyszał Maurycy nie należały do Jonasza. Ten nie wydawał żadnego dźwięku i Maurycy wiedział, że tylko on go widzi. Jeden z darów Zmoraków. Z tym trzeba się urodzić. Szósty zmysł.

Niemniej kroki zbliżały się i w pewnym momencie na scenę składającą się z fragmentu ulicy oglądanego z ukrycia przez Zmoraka, wkroczył człowiek. Szedł powoli na kursie kolizyjnym z Jonaszem i Maurycy dobrze wiedział co się zaraz stanie. Widział to już poprzedniego dnia mniej więcej w tym samym miejscu. Reakcja organizmu na zetknięcie z duchem jest naturalnie indywidualna i zależy od osobistych właściwości. Może to być nagły przypływ szaleństwa, może to być po prostu poczucie rezygnacji i bezsensu, ale czasem może zagrażać życiu.

– Zawsze kurwa coś... – pomyślał Maurycy i już miał wyjść z kryjówki, zaprzepaszczając w ten sposób możliwość dalszego polowania i tracąc efekt zaskoczenia, ale ratując człowieka. Jednak w ostatniej chwili mężczyzna odskoczył z drogi przemarszu Jonasza. Ten ostatni pomaszerował niewzruszenie w dalszą drogę. Maurycy był profesjonalistą, a przynajmniej tak mu się wydawało. Jednak to co zobaczył sprawiło, że zawahał się co zrobić dalej. W tym czasie duch, którego zamierzał śledzić oddalał się razem z możliwością szybkiego wytropienia zmory, na którą polował Zmorak.

– Jak to możliwe? Potknął się? Nie ewidentnie odskoczył – myślał Zmorak. – A to znaczy, że go widział. Konkurencja, czy niebezpieczeństwo? – Mężczyzną, który oglądał się teraz za duchem odchodzącym chodnikiem w kierunku tramwaju był ten doktor, którego Maurycy spotkał wczoraj przez szpitalem.

– Panie doktorze, to co pan zobaczył, to był duch Jonasza Kochańskiego, tego samego człowieka, którego przywieziono poprzedniej nocy do szpitala w takcie Pana dyżuru. – Maurycy postawił wszystko na jedną kartę.

Wyszedł z mroku bramy i powoli podszedł do doktora Grubera. Był gotowy do obrony, dłoń schowana pod ponczo ścisnęła delikatnie brzoźową rękojeść długiego fińskiego noża o szerokim ostrzu lekko wysuwając go z pochwy. Dr Gruber skierował na niego wzrok, a Maurycy zobaczył w jego oczach jedynie zaskoczenie pomieszane z rosnącym przerażeniem. Z pobliskiego balkonu rozszczękał się pies. Zmorak rozluźnił uchwyt dłoni na nożu i wsunął go do pochwy.

– A teraz pan pozwoli, że się oddalę. Obiecuję, że wrócimy do tej rozmowy. – Powiedziawszy to, Maurycy wykonał dwa lekkie, sprężyste kroki w kierunku dochodzącego już do skrzyżowania ulicy ducha i zniknął.

VIII.

Kot wyrzął przez okno swojego mieszkania i zainteresował się widząc scenę rozgrywającą się na ulicy. Usiadł wygodnie na parapecie, przestąpił z nogi na nogę i owinął się ogonem patrząc na postać spowitą w czerń płynącą nad ulicą wzdłuż ścian budynków. Z zaciekawieniem poruszył wąsami i oparł się wygodniej na przednich łapkach patrząc jak drugi z ludzi, który ewidentnie był duchem, przekracza ulicę i zmierza na przystanek tramwajowy. Czarna postać przylgnęła do ściany budynku i zlała się z nią w jedną całość przyjmując brudno-beżowy kolor.

– Co ty tam widzisz? Pusta ulica. Nic tam nie ma – powiedział człowiek należący do Kota głaszcząc go po grzbiecie. – Chodź, dostaniesz jeść – dodał człowiek odchodząc do kuchni. Kot naturalnie udał, że nie słyszy zarówno słów swojego człowieka, jak i odgłosu krzątania, których efektem z reguły była potem pełna miska stojąca pod stołem.

Kot zobaczył jeszcze tylko jak ciemny kształt ponownie oderwał się od ściany budynku i popłynął w kierunku przystanku, zlewając się to z chodnikiem, to z jezdnią. Zmieniając kolory w trakcie przekraczania szyn tramwajowych, kształt zaczął się wznosić na ławce jak bezładna i będąca w ciągłym ruchu sterta różnokolorowych szmat. Kot zeskoczył z parapetu udając się na śniadanie z podniesionym ogonem i nie widział już jak bezkształtna masa przybrała postać siedzącego na ławce skacowanego studenta, który najwyraźniej niedawno zakończył przyjęcie. Siedział teraz na ławce przystanku tramwajowego z głową opartą na dłoniach i łokciami na kolanach w oczekiwaniu na pierwszy poranny tramwaj w kierunku Śródmieścia.

Jonasz uniósł wzrok. Chmury biegły po niebie jak szalone. Wyglądało to jak na filmach przyrodniczych pokazujących wzrost rośliny w przyspieszonym tempie. Jonasz czuł się jak ten pęd paproci mozolnie przebijający się przez wilgotną warstwę gleby w kierunku słońca. Dokoła niego cały świat biegł. Na chodniku gołąb pracowicie wygrzebywał resztki pożywienia z opakowania od kebaba poruszając przy tym głową w oszalałym tempie. Nieodparte wrażenie *déjà vu* męczyło Jonasza odkąd opuścił mieszkanie. Miał iść do pracy wcześniej, żeby dokończyć projekt. Ale czy już go nie skończył? Co robił wczoraj? Co tydzień temu? Pamiętał tylko wieczór na balkonie i pobudkę na posadzce. I upiorne czerwone oczy. Przekroczył ulicę i stanął na przystanku tramwajowym. Na ławce siedział samotny i ewidentnie skacowany student. Jego ciało chwiało się gwałtownymi, krótkimi ruchami na boki, znowu to przyspieszone tempo. Jonasz spojrział na słup przystanku

w poszukiwaniu rozkładu jazdy, lecz w miejscu gdzie normalnie się on znajduje była tylko pusta biała kartka papieru oprawiona w brudne szkło.

– Znowu jakiś remont, o którym nikogo nie powiadomili – pomyślał obracając wzrok na postać siedzącą na ławce i już miał rozpocząć przyjazną konwersację dwóch Polaków wystawionych do wiatru przez system. Zdecydował jednak nie zaczepiać obcego, który wyglądał jakby wolał zostać sam ze swoim cierpieniem. Jonasz postanowił pójść do biura na piechotę. Obrócił się w kierunku Śródmieścia i już miał ruszyć gdy usłyszał głos od strony ławki.

– Proszę chwilę poczekać. Tramwaj zaraz przyjedzie – odezwała się postać siedząca na ławce. Jej głos brzmiał głucho i obco. Jak głos osoby mówiącej przez tubę ustawioną gdzieś bardzo daleko. Jonasz nie odpowiedział. Stał w miejscu i podziwiał pędzący dokoła niego świat. Ulicą śmignął samochód rozmazując się w eteryczną plamę. Kamienice stojące przy ulicy oraz drzewa rosnące po obu jej stronach składały się razem na bardzo ładny, wielkomiejski krajobraz. Odrapane ściany jednych kamienic i odnowione fasady innych wskazywały na to, że miasto żyło i wbrew temu co zawsze myślał Jonasz, miało duszę. Jonasz widział jak dwoje ludzi szło ulicą z daleka wyglądając jak para pingwinów chwiejących się na lewo i na

prawo. Ludzie poruszali nogami jak postaci na przedwojennych filmach, szybko i sztywno.

– Proszę się nie martwić. Pan tylko nie żyje – dobiegł go znów głuchy głos z ławki na przystanku. – Umarł Pan dwa dni temu na balkonie w swoim mieszkaniu. Teraz musi Pan odejść – ostatnie słowa zabrzmiały szeptem tuż obok jego ucha.

Jonasz stał nieruchomo i spojrzał na swoje dłonie. Były przeźroczyste i widział przez skórę płyty chodnika pod swoimi stopami. Czuł, że znalazł się gdzieś gdzie nie powinien być, gdzieś gdzie kiedyś był, ale to już przeminęło. Powoli obrócił głowę i wtedy nagle świat zatrzymał się w miejscu. Wszystko przestało się poruszać i zamarło w oczekiwaniu na coś nienazwanego. Chmury przyglądały się światu nieruchomo spod nieboskłonu.

– Janku, jesteś nareszcie. – Przed Jonaszem stała dziewczyna. Była ubrana w białą letnią sukienkę i miała długie czarne włosy sięgające połowy pleców. Uśmiechała się wdzięcznie i nieco dziecinnie, a jej zielone oczy patrzyły na Jonasza z głęboką i szczerą radością. Dziewczyna trzymała w dłoniach duże czerwone róże, które wyglądały jakby zostały świeżo zerwane.

– Tak długo czekałam ukochany – mówiła dalej dziewczyna. Miała delikatny i gładki głos, dźwięczny jak szum górskiego strumienia. Jonasz poczuł się bezpiecznie. Nagle wróciło do niego uczucie sensu i przynależności do tego miejsca, do tej osoby. Nie czuł się już obco. Świat się zatrzymał istniał tylko on i dziewczyna uśmiechająca się do niego wdzięcznie.

– Chodź ze mną. Teraz już zawsze będziemy razem. – Dziewczyna podała mu róże. Jonasz wyciągnął dłoń w jej kierunku i już miał chwycić róże. Poczuł, że się uśmiecha.

– Pani Rachelo, pani się fatalnie pomyliła – powiedział nieco zachrypnięty, lecz pewny siebie i aksamitny, mocny męski głos.

– To jest Jonasz Kochański, a nie Janek. Nie jest to Pani narzeczony. Pani Janek umarł podczas tortur w niemieckim więzieniu 15 września 1944 roku. – Jonasz nie mógł się ruszyć, lecz czuł czyjąś obecność za swoimi

plecami. – Pani również nie żyje. Zginęła Pani w nocy z 30 na 31 sierpnia 1944 r. wskutek postrzału, prawdopodobnie od zbłąkanej kuli.

Jonasz widział jak dziewczyna w białej sukience, dziewczyna, która sprawiała, że znowu czuł się potrzebny i bezpieczny, zamknęła oczy i opuściła głowę, nie cofając jednak dłoni z różami. Na białej do tej pory sukience na piersi dziewczyny zaczął rosnać czerwony kwiat. Rozszerzał się coraz bardziej i zamieniał w ciemnoczerwoną plamę obejmującą cały biust dziewczyny.

– Panno Rachelo! – powiedział znowu mężczyzna stojący za Jonaszem. – Proszę odejść i nie gnębić już więcej żywych i umarłych. Proszę zostawić w spokoju duszę Jonasza Kochańskiego i poddać się dobrowolnie odpowiedzialności za Pani czyny.

Nie przestając się uśmiechać dziewczyna otworzyła oczy i gwałtownie podniosła głowę odrzucając do tyłu włosy i Jonasz zobaczył znów te upiorne czerwone oczy.

– Es iz meyn!¹ – krzyknęła dziewczyna paskudnym skrzeczącym głosem. Od tego momentu dużo rzeczy wydarzyło się jednocześnie. Róże w dłoniach Racheli zamieniły się w trzy lśniące ostrza czerwone od krwi, którymi dziewczyna wymierzyła pchnięcie w pierś Jonasza. Piękne czarne włosy rozwiały się jak na silnym wietrze i rozwichrzyły się na wszystkie strony. Biała sukienka z czerwoną plamą krwi na piersi wydeła się i falowała jakby dziewczyna pływała w niewidzialnym oceanie. Jonasz poczuł nagle ciepło w całym ciele i przed sobą zobaczył plecy mężczyzny spowite w biało-brązowe ponczo. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że mężczyzna przeszedł przez niego. Jednocześnie Jonasz poczuł nagły przypływ sił i wyrwał się z paraliżującego bezruchu. Odskoczył na bok i poturlał się po chodniku. Gdy podniósł wzrok, zobaczył jak mężczyzna o długich, prostych i jasnych włosach z goglami na oczach długim, szerokim nożem zbija cios wymierzony przez dziewczynę pierwotnie w pierś Jonasza. Rachela jednak nie straciła równowagi i przeszła płynnie do poziomego cięcia. Ostrza wystrzeliły z jej dłoni i poleciały prosto w gardło nieznanego. Mężczyzna zawirował w półobrocie jednocześnie chowając dłoń pod ponczo. Ostrza przeleciały tuż obok jego grdyki i piersi, a jedno z nich upadło z brzęknięciem pod nogi Jonasza. Gdy wojownik stanął ponownie na dwóch nogach, Rachela unosiła się już metr nad ziemią i

krzyczała nieludzkim głosem z rozrzuconymi na boki rękami. Jej twarz rozciągnęła się, a skóra opięta na skroniach tak, że wyglądała jak goła czaszka z czerwonymi oczodołami. Wokół jej rąk zaczynały wirować czerwone płomienie wydając przeciągły syk. Mężczyzna miał już w ręce jakiś przedmiot wyciągnięty spod ponczo, którym rzucił w lewitującą dziewczynę. W powietrzu przedmiot rozwinął się w sieć, która opadła na Rachelę przygważdżając ją do chodnika, jakby na jej końcach były przytwierdzone niewidzialne ciężarki. Płomienie wokół rąk dziewczyny gwałtownie zgasły, pozostawiając w powietrzu chmurę siwego dymu. Dziewczyna klęczała na ziemi i szarpała się w błyszczącej fioletowo siatce jak dzikie zwierzę. W jej twarzy i ruchach nie pozostało nic z poprzedniego dziewczęcego wdzięku. Czerwone oczy rzucały wściekłe błyski na boki. Siatka strzelała na wszystkie strony niewielkimi fioletowo-pomarańczowymi błyskawicami z każdym ruchem uwieszonej pod nią dziewczyny. Mężczyzna wyprostował się i sprężystym krokiem podszedł do Racheli. W prawej dłoni wciąż trzymał długi szeroki nóż. Dziewczyna nagle skurczyła się w sobie i opadła bezsilnie na chodnik.

– Pomóż mi Janku... Błagam... – powiedziała Rachelę delikatnym, drżącym głosem, który sprawił, że Jonasz znów poczuł, że musi być przy niej i ją chronić.

– Proszę... Nie zabijaj mnie... Jestem niewinna... Janku pomóż mi... – chlipała dziewczyna z twarzą zasłoniętą kurtyną czarnych włosów. Spod trzeszczącej złowrogo siatki Jonasz widział jak delikatne plecy Racheli unosiły się w rwanym oddechu. Mężczyzna wyciągnął nóż nad głowę, a lewą dłonią ściągnął gogle na czoło. Następnie zakreślił krąg nad głową leżącej Racheli. Jonasz zobaczył poziome źrenice jak u kozy wypełniające żółte oczy mężczyzny.

– Mana ovтта лávkki маᵑosguvlui giddejuvvon gilkoriid historihkas² – powiedział ochrypłym z wysiłku głosem. – Przejdź jeden krok wstecz w historii, zmoro. Zginęłaś i nie wstaniesz. Nie dla ciebie świat żywych. Nie dla ciebie krew. Nie dla ciebie przyszłość. Równowaga musi zostać zachowana.

Z lewej dłoni mężczyzny zaczęły spływać powoli, wijąc się jak dym z papierosa, błękitne strugi światła. Gdy ich końcówki dotknęły głowy, Racheli ta krzyknęła przeciągle i załosnie. Strugi światła zaczęły powoli

obejmować jej ramiona, a jej ciało wyprężyło się spazmatycznie pod ciężarem siatki. Mężczyzna stał wyprostowany z jedną ręką nad głową Racheli, a drugą wzniesioną wysoko z nożem w dłoni. Na jego twarzy było widać pulsujące od wysiłku żyły. Świat dokoła stał w bezruchu.

– Janku, mój Janku... Czemuś mnie opuścił? – zakwiliła dziewczyna i znowu krzyknęła przeciągle i boleśnie. Jonasz nie mógł tego znieść. Poczul nagły przypływ gniewu i chęć ocalenia bezbronnej dziewczyny. Szybkim ruchem schylił się i podniósł z ziemi ostrze ciśnięte uprzednio przez dziewczynę w jego pierś. Nie prostując ciała do końca, skoczył przed siebie, mierząc ostrzem w wyciągniętej ręce prosto w pierś mężczyzny stojącego nad Rachelą. Promienie światła otoczyły już prawie całą jej sylwetkę. W ostatniej chwili mężczyzna podniósł lewą rękę znad głowy Racheli, a prawą ciął po skosie zbijając ostrze Jonasza, który nie utrzymał równowagi i upadł na chodnik. Ostrze wypadło mu z dłoni i potoczyło się tuż obok Racheli, która podniosła się do klęku.

– Shtarbn mizerabli!³ – wycedziła dziewczyna ostrym jak brzytwa głosem i odrzuciła do góry głowę. Z jej twarzy błysnęły czerwone oczy, a ręka chwyciła ostrze i jednym ruchem przecięła siatkę. Jonasz uniósł głowę i zobaczył tuż przed sobą upiorne czerwone oczy. Świat zaczął wirować w fioletowo-pomarańczowym szaleństwie. Jednak zanim wir światła pochłoniął Jonasza do reszty, nagle czerwone oczy zniknęły. Jonasz usłyszał huk i zobaczył leżącą na ziemi Rachelę, której postać kurczyła się jakby uciekało z niej powietrze. Nad nią stał mężczyzna trzymając się prawą ręką za bok, a lewą kreśląc znaki w powietrzu i oplatając ciało Racheli coraz ciaśniejszym całunem błękitnego światła. Mężczyzna zrobił ostatni ruch lewą ręką i podniósł z ziemi mały błękitny kamyk. Po Racheli nie pozostał żaden ślad. Oderwał prawą rękę od swojego boku i Jonasz zobaczył, że tkwi w nim ostrze Racheli wbite po rękkojeść. Z rany na chodnik kapiała krew. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni niewielkie czarne pudełko. Otworzył je, włożył do środka kamyk, zamknął je i schował z powrotem do kieszeni. Świat eksplodował ruchem, światłem i dźwiękiem. Mężczyzna upadł nieprzytomny na chodnik. Jonasz zobaczył jak ze wszystkich stron zbiegają się ludzie. Ludzie ci nie mieli twarzy. Gdzie się Jonasz nie obejrzał, tam widział ludzkie sylwetki bez oczu, bez nosa, bez ust. Jonasz w panice pobiegł przed siebie środkiem ulicy i nagle otoczyła go ciemność.

IX.

Dr Gruber siedział w dyżurce szpitala MSWiA nad kubkiem parującej kawy. Dym z papierosa wił się i plątał wokół niewidzialnej osi, a następnie znikał w powietrzu pod sufitem. Za oknem deszcz delikatnie bębnił po blaszanym parapecie.

– Widzisz kurde jakie są efekty przepracowania? – mruknął dr Gruber w kierunku kubka z kawą. – Napiszę jutro do Ministra Zdrowia i naskarzę, że przez odrabianie jego pańszczyzny mam halucynacje.

– Panie doktorze! Pacjent Wielowieyski się wybudza! – oznajmiła pielęgniarka stając w otwartych drzwiach dyżurki.

– Już idę – powiedział dr Gruber. Zgasił papierosa, wstał i wyszedł z dyżurki. Ostatni kłębek dymu wyskoczył z dogasającego papierosa i rozplątał się w powietrzu.

Świadomość wróciła jak zawsze w takich przypadkach, jak tępe uderzenie kijem w głowę. Maurycego gwałtownie zalał wodospad dźwięków, światła i bólu. Ból promieniował z prawego boku aż do ramienia. Maurycy otworzył oczy i zobaczył nad sobą biały sufit i rozjarzoną lampę z czarnymi śladami martwych much, które nieopatrznie wleciały do klosza. Zmrużył oczy i rozejrzał się. Leżał na łóżku w pustym pokoju o białych ścianach.

– Jak się pan czuje, panie Maurycy? – usłyszał głos dobiegający od otwieranych drzwi. Do pokoju wszedł mężczyzna w białym kitlu.

– Dobrze, dziękuję – odpowiedział Maurycy siadając na łóżku.

– Niech pan nie wstaje – dodał mężczyzna. – Nazywam się Feliks Gruber. Jak pan się będzie tak szarpał, to pozrywa pan szwy, które nie chwaląc się, dość profesjonalnie panu założyłem.

Maurycy nie położył się jednak. Patrzył na mężczyznę całkiem już trzeźwym wzrokiem.

– Gdzie są moje rzeczy? – zapytał. – Gdzie moje ubranie? – dodał zdając sobie sprawę, że jest ubrany w szpitalną, pasiastą piżamę.

– W szafce obok łóżka. Niczego nie brakuje – powiedział dr Gruber i przysiadł na krześle obok łóżka. Maurycy spojrział na niego podejrzliwie i otworzył szafkę. Wyciągnął z niej zawiniątko i zaczął przeglądać swoje rzeczy

– Wierzy Pan w duchy? – zapytał doktora Grubera podnosząc wzrok znad rozkładanego przed sobą na łóżku ponczo.

– Nie wierzę – odpowiedział doktor nie patrząc na pacjenta.

– To ciekawe. Nawet Tomasz uwierzył jak zobaczył – powiedział Maurycy. Wyciągnął spodnie i wsadził rękę do kieszeni, po czym uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Tak. Czytałem gdzieś o tym – odparł dr Gruber. – A teraz skoro zaspokoił już Pan swoją ciekawość, to może wyjaśni mi Pan pokrótce co się stało?

– Chętnie – odparł Maurycy. – Dostałem zlecenie żeby upolować zmorę i je wykonałem. Zmora powstała na bazie północnicy, Ducha Hanki i stała się niebezpieczna. Mam wszelkie podstawy żeby przypuszczać, że to ona stoi za śmiercią obydwu ofiar, które dokonały żywota w pańskim szpitalu. Może pan słyszał o historii Hanki?

– Gdzieś o tym czytałem – powiedział dr Gruber nie patrząc na Maurycyego. – Niemniej jak mówiłem, nie wierzę w duchy, więc proszę o wyjaśnienia co się naprawdę stało.

– Co pan robił o czwartej nad ranem wtedy tam na ulicy? – odpowiedział pytaniem Zmorak ściągając piżamę

– Coś mnie ciągnęło, żeby zobaczyć miejsce śmierci Jonasza Kochańskiego. Wie pan, taka ciekawość domorosłego detektywa – odpowiedział dr Gruber.

– Widział pan go. Wtedy na ulicy widział pan ducha Jonasza Kochańskiego. Zasadziłem się na niego żeby doprowadził mnie do zmory, która na nim żerowała. Gdy zobaczyłem, że Pan dostrzegł tego ducha

postawiłem wszystko na jedną kartę. Nie mogłem dopuścić żeby mieć wroga lub innego Zmoraka za plecami zaczynając polowanie. Działamy w pojedynkę. Musiałem pana sprawdzić. Widział go pan, nawet jeśli pan w to nie wierzy. – Maurycy spakował swoje rzeczy do torby wyciągniętej z kieszeni spodni i układał równo ubrania.

– Jak się pan czuje? – zmienił temat dr Gruber. – Stracił pan dużo krwi, rana była głęboka

– Dziękuję, jak mówiłem czuję się dobrze – odpowiedział uprzejmie Maurycy, po czym sięgnął dłonią do swoich oczu. Pochylił się do przodu i wyjął coś spod powiek.

– Dziękuję również za soczewki. Widok moich oczu rzeczywiście mógłby być nieco szokujący dla pracowników szpitala. Dobrze, że pan o tym pomyślał – dodał Maurycy z uśmiechem, podając doktorowi Gruberowi soczewki kontaktowe.

– Musi pan wiedzieć, że na miejscu wypadku zjawiała się policja. Zabrałem pana natychmiast do szpitala, co było dość wiarygodne biorąc pod uwagę ile krwi pan utracił. Niemniej może się pan spodziewać, że prędzej czy później się tu zjawią, żeby pana przesłuchać – powiedział dr Gruber.

– Dziękuję za wszystko, panie Doktorze – rzekł Maurycy.

– Proszę mi wybaczyć, ale muszę zobaczyć co słychać u innych pacjentów. Wrócę do pana za kilka godzin. Tymczasem proszę odpoczywać – powiedział dr Gruber. – A, i proszę jednak założyć te soczewki – dodał, podając Maurycemu opakowanie.

Dr Gruber wstał z krzesła i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Po wyjściu na korytarz dr Gruber ruszył szybkim krokiem wzdłuż kolejnych sal szpitalnych. Jedna z lamp na suficie wyraźnie nie kontaktowała, przez co korytarz był rozświetlany przerywanymi rozbłyskami białego światła. Korytarz był pusty i cichy, jeśli nie liczyć delikatnego szmeru urządzeń elektrycznych umieszczonych w ścianach, poszczególnych salach i na suficie. Dr Gruber przemierzając po raz kolejny

samotnie te korytarze czasem miał wrażenie, że idzie wewnętrznym chodnikiem jakiegoś wielkiego statku kosmicznego.

– Panie doktorze! Panie doktorze! – krzyczała jakaś dziewczyna biegnąc do doktora Grubera z bocznego korytarza. Dr Gruber zatrzymał się i pozwolił, żeby go dogoniła.

– Panie doktorze! Policja! Czekają w rejestracji i chcą się widzieć z panem doktorem – wydyszała dziewczyna, wspierając dłonie na udach. Jeśli dobrze pamiętał to miała na imię Patrycja i była stażystką w szpitalu.

– Dziękuję, Patrycjo. Proszę powiedzieć panom policjantom, że przyjdę do nich niedługo, jak tylko dokończę obchód – powiedział dr Gruber, nawet nie spoglądając na dziewczynę.

– Oczywiście, panie doktorze! – zapiszczała uradowana dziewczyna i pobiegła w dół korytarza.

Dr Gruber zawrócił na pięcie i ruszył żwawym krokiem w drogę powrotną w kierunku sali, w której leżał Maurycy Wielowieyski. Chwycił za klamkę, ale wstrzymał się na chwilę słysząc dziwny szum dochodzący z pomieszczenia. Jednocześnie na stopach poczuł powiew chłodnego powietrza wychodzącego spod drzwi. Dr Gruber nacisnął klamkę, pchnął drzwi i zobaczył pustą salę, i otwarte szeroko okno. Deszcz szumiał miarowo i wpadał do środka mocząc starannie zasłane łóżko. Rzeczy Maurycego oraz on sam zniknęły, jeśli nie liczyć niewielkiego, białego opakowania z soczewkami kontaktowymi leżącego dokładnie na środku szafki stojącej przy łóżku. Dr Gruber podbiegł do okna i wtedy usłyszał przebijający się przez szum deszczu odgłos silnika motocykla. Widlasty silnik chwilę gulgotał leniwie, by po chwili zwiększyć obroty i ucichnąć w oddali. Dr Gruber zamknął okno i wezwał pielęgniarkę.

X.

Jonasz siedzi na balkonie i patrzy na cudze życie. Patrzy na życie pływające za podwójnym szkłem po drugiej stronie ulicy. Ludzie przychodzą i odchodzą. Światła zapalają się i gasną jak jakiś szalony kosmiczny spektakl migoczących gwiazd.

„A planety szaleją, szaleją...” słycać dźwięki z głośników radia w sąsiednim pokoju.

Kracze wrona, szczeka pies, poza tym nie słycać innych dźwięków.

– Jonasz! Już czasssssss.... – dobiegł głos z głośników radia przerywając na chwilę muzykę.

„...się śmieją, się śmieją, się śmieją...” kontynuowała piosenkarka.

– Dziwne, że zostawili mi radio – pomyślał Jonasz.

Wszystkie inne sprzęty wynieśli. Mieszkanie jest prawie puste i wygląda tak jak gdy się tu wprowadzał pięć lat temu.

– No nic – pomyślał, spoglądając ostatni raz na świetlny spektakl po drugiej stronie ulicy, a następnie wstał i wrócił do pokoju. Chwycił radio i nie oglądając się za siebie wyszedł z mieszkania, zszedł po pustej klatce schodowej i wyszedł na ulicę. Przy chodniku czekał już mężczyzna na motocyklu.

– Sokół 1000? – zapytał Jonasz patrząc na maszynę.

– Tak jest. Rocznik 1935. Miło będzie podróżować z osobą kulturalną i obeznaną – odpowiedział mężczyzna obracając się do Jonasza. Na oczach miał duże gogle, a na głowie nosił jedynie opaskę, która spinała mu długie jasne włosy. Twarz motocyklisty przecinały dwie pionowe blizny. – Proszę wsiadać.

– Nie powiedział Pan, gdzie chce mnie zabrać – powiedział Jonasz.

– W bezpieczne dla Pana miejsce. Tu nie może Pan zostać. Dla swojego dobra i dla dobra innych. Proszę mi zaufać – dodał motocyklista.

– Dobrze. Jedźmy. Co mi pozostało, w końcu nie żyję – powiedział Jonasz.

Motocyklista kopniakiem odpalił silnik, który zagulgotał głucho. Przez chwilę wydawało się, że silnik zaraz zgaśnie, ale jednak utrzymał się na obrotach. Jonasz wsiadł na tylne siedzenie motocykla kładąc radio przed sobą. Wcisnął play i po ulicy poniósł się zwielokrotniony echem utwór pewnej krakowskiej kapeli rockowej.

Saturn zimnem Ziemię smaga

Lód się w moje serce wkrada

W oku chętnie się sadowi

I marzenia moje chłodzi

Motocykl szarpnął i ruszył w dół ciemną warszawską ulicą.

Warszawa, wrzesień 2016 r.

Przypisy

- 1 On jest mój! (jidisz)
- 2 Przejdź jeden krok wstecz w historii zamkniętych kart. (lapoński)
- 3 Zginiesz marnie! (jidisz)

Spis treści

[I.](#)
[II.](#)
[III.](#)
[IV.](#)
[V.](#)
[VI.](#)
[VII.](#)
[VIII.](#)
[IX.](#)
[X.](#)
[Przypisy.](#)